Nr. 9. Poznań, Niedziela 25-go Lutego 1900. Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu już z odnoszeniem tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy" nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.

Etyka kupiecka.

„Kupujmy u swoich", oto jedno z haseł, które społeczeństwo nasze wydało w trudnej walce o byt. Na przeprowadzeniu hasła tego polega rozwój handlu naszego i przemysłu, a że dwa te czynniki ekonomiczne są podstawowemi w życiu naszem społecznem, — przeto hasło wymienione powtarzać trzeba i powtarza się często i z naciskiem. Obowiązkiem prasy jest uświadamiać społeczeństwu doniosłość ekonomicznej maksymy. Obowiązkiem tej samej prasy jest jednakże i przestrzeganie, aby haseł wydanych w imię wielkiej idei nie nadużywano w celach osobistych, materyalnych z uszczerbkiem dla społeczeństwa.

Przedewszystkiem pamiętajmy o tem, że koła odbiorców naszych, mając obowiązek kupowania u swoich, mają i prawa odbiorców, — i że kupcy i przemysłowcy nasi, stawiając słuszne żądania, aby ich przedsiębiorstwa podtrzymywała polska klientela, mają zarazem i obowiązki swego stanu.

Często słyszeć można twierdzenie, że u „żyda" ten sam towar taniej nabyć można niż u Polaka. Zdanie to w całej swojej rozciągłości jest bezwarunkowo fałszywem, są składy polskie, które dostarczają towar za tę samę cenę, co i kupiec — żyd (mówi się naturalnie o towarze zupełnie równym w jakości). Ale słusznem jest, że są firmy polskie, chociaż ich może niewiele, które bezsprzecznie wyższą stosunkowo nakładają na towary cenę; żyją one z rzuconego hasła z uszczerbkiem dla społeczeństwa. A rzecz dziwna, że właśnie właściciele podobnych składów najgłośniej powtarzają wymienioną społeczną maksymę. — Jest to nierzetelne i wstrętne pozowanie na ideę i wyzyskiwanie społeczeństwa pod maską patryotyzmu.

Społeczeństwo ma prawo omijania podobnych składów, których właściciele całemu przemysłowi przynoszą szkodę, bo zrażają do niego publiczność, która nieraz ma najlepsze chęci. I Polak-kupiec powinien, nie zadawalając się powtarzaniem publiczności: „kupujcie u mnie", starać zwalczać żydowską konkurencyą. Nie potrzeba na to dawać podłego towaru, bo publiczność ma tyle zdrowego zmysłu, że umie ocenić trwałość i doborowość towaru i jej wartość. Nikt nie żąda niemożliwości od kupca, napiętnować jednakże wypada wyzysk, ukrywany pod płaszczem idei.

Nasuwa nam się drugie spostrzeżenie, które uczynić można, ilekrotnie się weźmie choćby najmarniejszy żydowski „blatt" do ręki. Proszę porównać dział „inseratowy" tutejszych niemieckich „blattów" z działem jakiegokolwiek pisma polskiego, pomijając „Dziennik". Rzecz zdumiewająca: większa część anonsów w takim „blacie" pochodzi od polskich firm, — a dział inseratowy polskich pism świeci pustkami. — Nadmienić trzeba, że pisma polskie doprowadziły do pokaźnej liczby: 12 tysięcy („Praca"), 10 tysięcy („Wielkopolanin"), 4 tysięcy („Goniec Wielkopolski") abonentów, podczas gdy abonament pism niemieckich ledwo przechodzi liczbę 2 tysięcy z wyjątkiem jednego, które liczy niespełna 4000. Nadmienić dalej wypada, że bądź co bądź polski kupiec żyje z polskiej, nie innej klienteli.

Ale weszło raz w zwyczaj, że kupiec Polak anonsuje (są i chwalebne wyjątki) z urzędu we wszystkich pismach niemieckich, a może drugorzędnie pośle w końcu anons do „Dziennika". Pamiętajmy, że hasło „kupujmy u swoich" nie daje jedynie prawa kupcom, ale nakłada im i obowiązki. Niech każdy anonsuje choćby całorocznie we wszystkich pismach niemieckich, jeżeli mniema, że mu to zysk przyniesie, ale niech anonsuje i w kilku polskich, bo podtrzymanie tychże jest także społecznym obowiązkiem, a dla niego korzyścią.

Pisma polskie stawione są wskutek niespołecznej oziębłości kupców i przemysłowców polskich przed smutną konieczność przyjmowania inseratów od obcych przedsiębiorstw, (które lepiej rozumieją interes własny, inserując w piśmie polskiem), i werbowania im w ten sposób klienteli wśród społeczeństwa naszego. Zmusza je do tego walka o byt, którą niejedni rozumieją tylko, gdy chodzi o ich kieszeń. Do tych „niejednych" adresujemy powyższe uwagi, do których spowodowały nas w części prywatnie przesyłane nam wiadomości. Korzystamy z nich tylko w uogólnieniu, nie podając nazwisk pism dla dziennikarskiej powagi i nie pragnąc szkodzić jednostkom. —

Do powyższej kwestyi powrócimy jeszcze w jednym z następnych numerów.

Spostrzegacz.

Sensacyjne aresztowanie.

Już w zeszłym numerze podaliśmy Czytelnikom „Pracy“ krótką wiadomość o aresztowaniu redaktora i wydawcy „Gazety Ostrowskiej“, pana Witołda Leitgebra. Aresztowano go pod zarzutem zdrady stanu, na rozkaz najwyższego prokuratora Rzeszy w Lipsku. Uwięziony znajduje się obecnie w Poznaniu. Śledztwo jest w biegu. Dwaj najwyżsi urzędnicy policyjni, komisarz Zaescher oraz radca policyjny Zacher z Poznania, dokonali ścisłej rewizyi u aresztowanego i obłożyli aresztem masę druków i korespondencyi zarówno z mieszkania prywatnego p. Leitgebra, jak i z lokalu drukarni, redakcyi i księgarni. Wszystkie te papiery, zawarte w kilku opieczętowanych worach, przewieziono do Lipska, gdzie mają dostarczyć dowodów winy uwięzionego.

Prawie równocześnie, również pod zarzutem zdrady stanu, aresztowano dwóch Polaków w Dortmundzie, z których jeden, drukarz z zawodu, miał podobno tajną drukarnię.

Tak się przedstawia w krótkich słowach opowiedziany fakt, który w wysokim stopniu poruszył opinię publiczną i najróżnorodniejsze wywołał komentarze. Podług niektórych źródeł niemieckich p. Leitgeber aresztowany został za przygotowywanie do druku, czy też nawet wydanie, jakiejś rzekomo agitacyjno-prowokacyjnej broszury p. t. „Jeszcze Polska nie zginęła“. Broszury takiej nikt w Księstwie nie zna i wiadomość cała jest podejrzaną. Zarejestrować ją jednak wypada nietylko dla ścisłości samej, ale dlatego, że aresztowanie przypisuje ona działalności lub zamiarom p. Leitgebra w jego charakterze jako właściciela drukarni. W tem znaczeniu pojęta, jego rzekoma „zbrodnia“, w najgorszym nawet razie kwalifikowałaby się do wydania jakiegoś ulotnego pisma, za które go czeka proces — prasowy. Przecież nikt nie uwierzy, nawet i niemieckie hakatystyczne blatty nie przypuszczają, aby w drukarni p. Leitgebra drukowano, dajmy na to, odezwy, wzywające do powstania.

O ile więc aresztowanie na takiej podstawie opierać by się miało (a o jakąś fałszywą denuncyacyę w dzisiejszych czasach nie trudno, jak to mamy przykład, choćby wspomnieć o naszym ostatnim procesie), to cała sprawa przedstawiać się będzie zupełnie niewinnie i dobrze się zakończy dla oskarżonego.

Są jednak jeszcze wersye inne. Niektórzy łączą mianowicie aresztowanie pana Leitgebra z jego broszurą o Rapperswylu, a pośrednio ze sprawą istniejącego w Rapperswylu (w Szwajcaryi skarbu narodowego polskiego.) Bardzo nam się wydaje prawdopodobnem, że broszura ta dostała się do rąk jakiegoś hakatysty, tembardziej, że na ostatniem ich zebraniu w Berlinie była mowa o skarbie narodowym polskim, a z rąk hakatysty — dostała się do Lipska w ręce nadprokuratora Rzeszy, drogą również denuncyacyi, tem głupszej, że nieuzasadnionej. Broszura p. Leitgebra (nie wiadomo nam obecnie, gdzie wyszła) o zamku Rapperswylskim jest sobie najniewinniejszym opisem podróży autora po Szwajcaryi, wyszła pod nazwiskiem autora i nie zawiera nic karygodnego. Sam autor proponował nam jej przedruk w roku zeszłym. Opisując Rapperswyl, dotyka pan Leitgeber kilku słowami i sprawy skarbu narodowego. Ten skarb narodowy, będący dla hakatystów jakimś żelaznym wilkiem, jest sobie bardzo anemiczną instytucyą, a powstał on przez zbieranie składek przeważnie w Kongresówce, gdzie fundusz złożony na jakikolwiek cel publiczny nie byłby dość pewnym przed ramieniem rządu. Znajduje się więc on przy muzeum polskiem w Rapperswylu, a będzie tego coś raptem ze sto tysięcy franków, z których odsetki na szlachetne cele bywają używane.

Bardzo być może, że zbieranie składek na ten cel jest w sprzeczności z przepisami prawa pruskiego; — ale w Poznańskiem wogóle myśl założenia skarbu nie znalazła podatnego gruntu, popierwsze, ponieważ my tu możemy zupełnie jawnie na cele publiczno-społeczne, najbliżej nas obchodzące, zbierać fundusze; a powtóre przeważnie dlatego, że istytucya ta z krajem niema żadnej łączności.

Wogóle, jak mieliśmy sposobność przekonać się z okazyi odezwy Ligi narodowej, o Poznańskiem i naszem życiu narodowem nie mają w innych zaborach pojęcia. Bardzo więc być może, że z okazyi wydania przez p. Leitgebra książeczki o Rapperswylu, zarząd muzeum przesłał pod jego adresem, dajmy na to, sprawozdanie z funduszów skarbu, jakie każdemu zwiedzającemu muzeum gratis ofiarowują, o czem piszący te słowa miał sposobność sam się przekonać. Takie niewinne sprawozdanie, w otwartej przesłane nawet kopercie, mogło przy znanej „*Findigkeit*“ naszych organów pocztowych zamiast do Ostrowa przez omyłkę pojechać — do Lipska i tu, zaopatrzone nakreślonym przez znany niebieski ołówek znakiem zapytania, znaleść się na biurku prokuratora. Idyotyczne telegramy berlińskiego „*Lokal Anzeigera*“ o wykryciu w Warszawie socyalistycznej (!!) ligi narodowej obiegły całą Europę i podrażniły wyobraźnie. Taki zbieg okoliczności mógł wystarczyć, aby wywołać aferę. Nie przypuszczamy bowiem możliwości jakichś bardziej skomplikowanych i naprawdę poważnych motywów aresztowania.

U nas żadnych tajnych konspiracyi niema. Praca nad wskrzeszeniem ojczyzny prowadzi nie przez manowce tajnych sprzysiężeń i spisków, lecz przez uświadomienie ludu, że jest polskim i polskim ma pozostać, choćby w niego biły gromy hakatystyczne. A praca ta wymaga długiego okresu lat, a wreszcie może być zupełnie jawną i jest jawną. Inna rzecz co do innych prowincyi. Nie chcemy, aby nam narzucano z Warszawy lub ze Lwowa zdanie, jak mamy pracować, i my nie chcemy narzucać się ze swem zdaniem Lwowu lub Warszawie. Jeśli uważają, że musi być tajnie, niech sobie będzie tajnie — ale Księstwo, w innych warunkach politycznych się znajdując, to samo może robić, tak samo pracować, lud oświecać i opinią publiczną do patryotyzmu zagrzewać — *zupełnie jawnie.* Więc trudno by nawet powiązać w jedną logiczną całość aresztowanie p. Leitgebra ze znaną odezwą Ligi — bo to samo, co w tej odezwie zostało (dla Królestwa) tajnie wydrukowane — u nas zupełnie jawnie, z małemi odmianami w tonie i formie — codzień i co tydzień się drukuje. Za sam napis „Liga narodowa“ też nikt do kozy nie pójdzie, bo jeśli trzem panom jakimbądź zechce się założyć Towarzystwo pod tą nazwą, i to polityczne, to każdej chwili mogą uzyskać zatwierdzenie policyi, drukować odezwy, zakładać filialne kółka i pracować nad oświatą ludu — dopóki nie spostrzegą wreszcie, że właściwie to samo już się teraz robi, że gazety piszą odezwy, lud kształcą, nawołują do zakładadania towarzystw filialnych itd. itd. i to zawsze jawnie...

Mamy mocne przekonanie, że cała sprawa wyświetli się w sposób dla uwięzionego pożądany, i hakatyści poznają znowu że trafili — kulą w płot.

Vester.



Wiek dziewiętnasty.

IV.

Wypada nam dziś mówić o roku 1848.

„Im Hochland fiel der erste Schuss,
„Im Hochland wider die Pfaffen,
„Da kam, die fallen wird und muss
„Ja die Lawine kam in Schuss...

„Sie rollt, sie springt — o Lombardei,
„Bald fühlst auch du ihr Wälzen,
„Ungarn und Polen macht sie frei;
„Durch Deutschland dröhnen wird ihr Schrei,
„Kein Bannstrahl kann sie schmelzen“.

Temi słowy witał poeta niemiecki H. Freiligrath wybuch rewolucyi lutowej w Paryżu i przypominając krwawe zatargi szwajcarskie z r. 1847, (Im Hochland

fiel der erste Schuss) zatargi pomiędzy liberalnemi kantonami dążącemi do zjednoczenia a kantonami konserwatywnemi chcącemi zostać w rozdzieleniu, przepowiadał powstanie i wyzwolenie Lombardyi, Włoch, Węgier, Polski i zjednoczenie Niemiec. Te słowa niemieckiego poety, natchnionego śpiewaka wolności, odźwierciadlają znakomicie ogólne hasła, dla których szerokie masy podniosły i wszczęły rewolucye w roku 1848. Ogólnemi hasłami temi była wolność polityczna, osobista, była jedność, centralizacya krwią do siebie należących, a granicami rozdzielonych szczepów. Te dążenia wiały wówczas potężnie po przez całą zachodnią Europę, przedewszystkiem przez Francyą, Włochy, Szwajcaryą, Niemcy, Austryą i po obszarze dawnej Polski.

Ktoby pozorami się łudząc, chciał wnioskować o ówczesnym ruchu rewolucyjnym, mógłby sądzić, że te szerokie idee porwały wówczas rozdzielone dotąd narodowości i razem wszystkim jeden wspólny cel stawiły przed oczy. A przecież pod tem zewnętrznem, wspólnem dla wszystkich hasłem, jakże różne leżały interesa poszczególnych narodowości i jak różną była istota i przyczyna każdego z tych ruchów.

Pomijając już rozruchy szwajcarskie z r. 1847 mające na oku zjednoczenie rozdzielonych dotąd kantonów i w miejsce ultramontańskich zaprowadzenie liberalnych rządów, zastanówmy się nasamprzód nad rewolucyą włoską.

W powstaniu Włoch w r. 1848 dwojakie odzywały się dążenia; głównem i górującem nad wszystkie inne było wyzwolenie się z pod jarzma Austryi, która, jakby na urągowisko, wówczas przez usta ministra swego Metternicha oświadczyła, że Włochy nie stanowią narodowości, że są jedynie krajem w georaficznem pojęciu. Otóż Włosi chcieli dowieść, że na tym półwyspie przez Boga im nadanym oni są panami, i synami jed nej ziemi, i że braterską krwią zjednoczeni stanowią naród niezależny i mający prawo do wolności. *Itàlia fara da se*, te słowa ówczesnego króla włoskiego Wiktora Emanuela najlepiej streszczają dążenia włoskie z r. 1848. „Włochy działać będą przez siebie“ bez cudzej pomocy, ale też bez cudzej opieki, bez jarzma, które je gniecie. Niepodległość polityczna, wyzwolenie się z niewoli austryackiej było głównem zadaniem ruchu rewolucyjnego we Włoszech. Spiskowa tajna robota demokratów republikanów, na czele których stał Mazzini, konspirujący przeciw królowi, u ludu na dobre nigdy oddźwięku nie znalazła; nie leżała ona w potrzebie czasu, mogła jedynie psuć zgodę a tem samem hamować owę walkę o niepodległość. Chociaż Włosi w niej pierwotnie klęski ponosili, przecież wyzwolenie się z pod austryackich rządów, stworzenie „narodowości“ włoskiej królom swoim i ich ministrom zawdzięczają, a nie takim konspiratorom niewczesnym, jak nim był Mazzini.

Podobnym nieco jak we Włoszech był ruch rewolucyjny w Węgrzech; i Madziarom chodziło o wybicie się na wolność, a w walce tej tego samego mieli wroga co Włosi: Austryą. Gdyby nie pomoc rosyjska, po którą Austrya w końcu choć niechętnie udać się musiała, kto wie, czy Węgrzy nie byliby dalej wówczas doszli i na wzór Włoch oderwali się zupełnie od korony austryackiej? Lecz któż śmie dzisiaj takie kwestye rozstrzygać i kto wie czy Węgrzy mogliby się wogóle jako państwo samodzielne ostać?

Jakże różnym wobec tych ruchów, wobec tych walk o niepodległość przeciw obcym był ruch rewolucyjny we Francyi wszczęty w lutym 1848 r. Tam wznieśli bunt przeciwko własnemu swemu królowi bogaci bankierzy za uszczuplenie im praw politycznych a w buncie tym oparli się na szerokich masach biednego ludu, walczącego dla siebie o chleb codzienny, użyli za narzędzie proletaryatu. Dopiero kiedy po wypędzeniu króla, Ludwika Filipa Orleańskiego, tenże proletaryat przeciwko bankierom się zwrócił i zażądał od nich zaspokojenia swoich potrzeb cielesnych i duchowych, wtenczas finansiści wyparli się ludu i krwią jego się zbryzgali. Odtąd poczynają rosnąć we Francyi socyaliści i komuniści, organizując się w partyą polityczną, a dążący do przewrotu społecznego.

Patrzmy, jakim był ruch rewolucyjny w Niemczech i Austryi. I tam podnieśli się obywatele przeciwko swoim królom, przeciwko cesarzowi, w Berlinie i w Wiedniu walczono krwawo na barykadach. O cóż walczono? O wolność myśli, o zniesienie granic rozdzielających bratnie szczepy, o nadanie konstytucyi wspólnej, któraby te szczepy w jedno zespoliła, o stworzenie jednego dla Niemiec całych i Austryi cesarstwa. Czy osiągnięcie tego celu było wówczas możliwem? oczywiście że nie, jak tego późniejsze wypadki dowiodły; w każdym razie dążenia ówczesnych rewolucyonistów niemieckich były szczytne i wzniosłe;

„Des Vaterlands Grösse, des Vaterlande Glück,
„O schafft sie, o bringt sie dem Volke zurück“!

Ówczesny król pruski, Fryderyk Wilhelm IV, był wedle słów niemieckiego poety, za trwożliwy, by dążeniom nowego czasu w oczy spojrzeć, za bardzo gonił za poklaskiem ludu, by niemi gardzić, był za wysoko urodzonym, by je zrozumieć. Jakkolwiekbądź krew obywateli na barykadach berlińskich nie lała się napróżno, chociaż dzisiaj pamięci ich lżą nieraz, a na konstytucyą, którą im mają do zawdzięczenia, ramionami wzdrygają.

I w dziejach naszych porozbiorowych rok ten 1848 swoją odrębną stanowi kartę. Gdzież nas wtedy nie było, gdzieżeśmy nie walczyli! i we Włoszech, i w Paryżu, na Węgrzech, i w Wiedniu, i w Berlinie, małoduszni Niemcy chcieli później rewolucyi berlińskiej się wyprzeć i na nas zrzucić za nią odpowiedzialność; nawet ten romantyk na tronie, chcąc ugłaskać Berlinczyków, wmawiał im w swojej odezwie „An meine lieben Berliner“, że to obce przybysze, Polacy i inni komuniści wszczęli krwawe rozruchy.

My zaś możemy sobie zaiste dzisiaj powiedzieć, że „nie ma prawie krainy, nie ma prawie ludów, gdzie by nie doszły głosy klęsk naszych i trudów!“ Wszędzie, gdzie tylko iskierka nadziei dla nas zabłysła, zjawiali się nasi, chcąc poprzeć ten ruch, bacząc czy zeń i nasza wolność się nie wyłoni. Płonne to były nadzieje i niedojrzałe, ale tłomaczą się gorączką wolności, która nas wówczas trawiła. Byliśmy z tego już znani, gdziekolwiek wszczynał się jaki niepokój, rozruch, zawsze wołano: „Poszukajcie no Polaka“, ztąd Niemcy dzisiaj kołysząc się z lubością w swoich zdobyczach i rosnąc w bogactwo na francuskiem złocie ugruntowanem, nazywają nas z przekąsem: „Die verhätschelten Lieblingskinder der europäischen Revolution“, (Zepsute dzieci rewolucyi europejskiej.) Zawieleśmy się po rewolucyach spodzie-

wali, za mało nam one przyniosły, aby nas mogły były zepsuć.

Włochom dał rok 1848 w dalszych swoich skutkach niepodległość, toż samo Węgrom; we Francyi zniósł monarchią, a zaprowadził na czas pewien republikę, w Niemczech i w Austryi dał konstytucyą, — dla nas „rok po roku marnie leci, my w niewoli, my w niewoli“.

Jakkowiekbądź rok 1848 jest przełamowym w dziejach wieku XIX-tego.

To, co przed nim leży, jest nam młodszemu pokoleniu dzisiaj z trudem jedynie zrozumiałem, jest jakgdyby przestarzałem, przedpotopowem; z tym rokiem nowa zaczęła się epoka w życiu narodów europejskich. *Poznańczyk.*



Z TYGODNIA.

Rząd pruski zamierza kierować się wobec Polaków polityką *bezwzględności* — takie nader cenne wyznanie zrobił minister spraw wewnętrznych pan Rheinbaben z okazyi mowy księdza Jażdżewskiego. Od roku 1887 oświadczył nasz poseł w imieniu całej ludności polskiej, posłowie polscy nie otrzymali od rządu żadnego zadośćuczynienia w sprawie zanoszonych skarg. Czyż więc jest to rzeczą dziwną, że panuje wśród nas rozgoryczenie przeciw rządowi? Jeśli rząd chce istotnie działać uspokajająco, jak zapowiedział — to stosunki, które się wśród nas wytworzyły, aż nadto dostarczą mu sposobności do tego. Niestety jednak, mówi dalej ks. Jażdżewski, rząd źle obchodzi się z Polakami, nasze zgromadzenia oddaje pod ciągły nadzór policyi, utrudnia nabożeństwa polskie, postępuje zapomocą wszelkich środków administracyjnych, podczas gdy nam jedynie droga legalnej obrony praw naszych pozostaje. Hakatyści dążą do wyzucia nas ze wszystkich praw naszych. Jakże więc mówić można o uspokojeniu? Dopóki trwać będą wyjątkowe prawa przeciw Polakom, dopóty mowy być nie może o uspokojeniu.

Minister Rheinbaben odparł na to z zimną krwią, że do pojednania się z Polakami rząd wcale nie dąży. Polacy — mówi minister — rządowi zawdzięczają rozwój swego kraju, usamowolnienie włościan (dokonane przy czynnym współudziale naszego obywatelstwa! Przyp. red. „Pracy“), oraz dobrobyt mieszczaństwa (?), które obecnie najgorszym jest wrogiem rządu. Przeciw agitacyi demagogicznej, jaka się na polskich ziemiach szerzy, będzie występował rząd z całą energią i bezwzględnością. W istocie bardzo byśmy powinni być wdzięczni ministrowi, który tak srodze nam grozi: Gróźb jego nasz lud się nie ulęknie, bo nie tacy ministrowie już nam „bezwzględnością“ swą grozili, ale dobrze przynajmniej, że wiemy, czego w najbliższym czasie od panów ministrów spodziewać się możemy. Nicby nas nawet nie zdziwiło, gdyby nawet który z wodzów Hakaty owładnął fotelem ministeryalnym; jak się zdaje, hałasowanie przeciw Polakom wystarcza za dobre kwalifikacye.

Za bezwzględność bezwzględnością: przy czytaniu projektu podwojenia floty posłowie nasi oświadczyli się stanowczo przeciw projektowi i dobrze zrobili, gdyż w całym kraju naszym oburzenie wzbudza hałaśliwa rządowa agitacya za projektem, prowadzona nawet w szkołach. Z debat dotyczących projektu marynarskiego warto zaznaczyć mowę posła wolnomyślnego Eugeniusza Richtera, który kilka gorzkich słówek powiedział rządowi o tem, jak się kraj zapatruje na tę agitacyę. „Prowadzą ją — powiada Richter — ludzie, którym chodzi o dostanie orderów.“

Do jak trudnych, powiedziawszy bez ogródek, sposobów uciekają się zwolennicy projektu floty, aby tylko wzbudzić w opinii publicznej przekonanie, że istotnie wszyscy oświadczają się za projektem, dowodzi tego fakt, który zaszedł przy intronizacyi nowego arcybiskupa kolońskiego, Simara.

Arcybiskup miał przemowę, a sprawozdawcy gazet półurzędowych rozgłosili, że powiedział on mniej więcej te słowa: W Niemczech objawia się dążność, aby i zagranicę nieść honor imienia niemieckiego, a to pod osłoną flagi niemieckiej. Cesarz niesie sam ten sztandar naprzód, a my mamy obowiązek iść za cesarzem. Sprawa kosztów jest sprawą drugorzędną, przy dobrej woli może być załatwiona i mam nadzieję, że jak dotąd tak i nadal we wszystkich sprawach patryotycznych podniesie się w Niemczech jeden okrzyk: „pójdźmy za cesarzem.“

Takie otóż sprawozdanie rozesłano do wszystkich pism. Tymczasem, jak się okazało, cała ta mowa od początku aż do końca okazała się bezczelnem kłamstwem. Jakiż cel ono mieć mogło? Chyba ten, aby lud katolicki pociągnąć i przekonać do projektów marynarkowych, a oprócz tego wywołać wśród inteligentnych katolików oburzenie przeciw takiej politycznej propagandzie ze strony wysokiego duchownego, który w sprawach politycznych powinien unikać wywierania jakiegokolwiek nacisku.

Sprawa Anglików w Afryce coraz to gorzej stoi. Generał Buller już nietylko nie myśli o tem, aby oswobodzić zamkniętych w Ladysmith Anglików, ale radby cało ze swą własną skórą uszedł. Tymczasem nadchodzi wiadomość, że boerski generał Joubert w 6 tysięcy wojska przygotowuje osaczenie Bullera. Wiadomość ta wywołała w Londynie ogromny popłoch, dotychczas bowiem Boerzy, pobiwszy nawet Anglików, nie następowali na ich wojska, ograniczając się tylko do obronnej postawy. Pierwszym wynikiem tej agressywnej postawy boerskich wojsk jest to, że Anglicy szybko się cofają, a wskutek tego już ośm największych armat musieli pozostawić Boerom. Przy małej potyczce, jaką stoczył Buller, trzy bataliony angielskie dostały się do niewoli. Ladysmith uważają w Londynie już za zupełnie stracone.

Tegoroczna wystawa paryska, która początkowo taką dumą napawała Francuzów, staje się im obecnie prawdziwą kulą u nogi w polityce zagranicznej, obawiają się bowiem narazić się komuś, aby żadne państwo nie cofnęło przyrzeczonego współudziału w wystawie. Z tego powodu polityka francuska nie może nic skorzystać ze słabości Anglii w Afryce, zależną jest również od Niemców. Tymczasem zaś niepowodzenia zewnętrzne polityki francuskiej mocno się odbijają na sytuacyi wewnętrznej i narażają rząd na ciągłe walki z wrogiemi mu żywiołami. *K. O.*



PRZEGLĄD PRASY.

Podatki nas gnębią, a mało powraca z tego do nas z kasy państwa dla poprawy naszego bytu; — przecież wielkie urzędy, nawet wojskowość nie jest dla nas dostępną. Opłacamy więc miliony na urzędników i wojskowych pruskich, a sami dorabiać się musimy w najniekorzystniejszych nawet zawodach.

Jako źródło dochodu pozostaje nam jedynie tylko ziemia i ten skromny przemysł, a przecież i na tem polu nawet walczyć musimy z prawodawstwem, szykanami i bojkotem, a przedewszystkiem z przewagą kapitału. Chcą nas ogłodzić. Wobec tego każdy, choćby najdrobniejszy grosz publiczny, który zaoszczędzić możemy, wielką ma wagę. Energią, oszczędnością i usilną pracą dorobić się możemy i dojść do poprawy stosunków.

Ale niestety my sami nie raz nakładamy na siebie podatki, i to znaczne, my sami zasilamy skarb państwa, z którego nic nam się z powrotem nie dostaje prócz wywłaszczenia i zagłady, —

a czynimy to zwłaszcza w tych razach, gdy wszechwładna pani moda żąda tego od nas.

Słusznie też zwraca uwagę **„Dziennik Poznański“** na jeden z tych rozpowszechnionych dzięki modzie zwyczajów dobrowolnego ogałacania się z grosza, który w inny sposób lepiej zużyć by można:

„Od kilkunastu lat rozwielmożnił się zwyczaj wysyłania telegramów na wszelkie uroczystości rodzinne a przedewszystkiem śluby. — Próżność ludzka jest tak płytką a bezdenną, że zawiadamia się o dniu i miejscu ślubu nawet ledwie znajomych, aby jak największą ilość telegramów odebrać. Telegramy wysyła się bez względu na odległość i cenę. Bywają śluby, gdzie telegramy dochodzą do poważnej liczby 500. Dawniej pozwalali sobie na taki zbytek tylko ludzie bogaci, dziś wszyscy hołdują tej zdrożnej a tak kosztownej modzie. Podobną plagą dla naszej biedy są karty z widokami, których wysyłanie stało się po prostu rujnującą manią. Jest to czasem ładne i przyjemne, ale nam nie wolno powiększać obcych funduszów, nam nie wolno trwonić dorobku. Społeczeństwa bogate, mające byt polityczny, mogą sobie pozwalać na takie fantazye, bo to powiększa dochody państwa i wyradza nowy przemysł i cyrkulacyę pieniędzy, ale my wspierając obcy przemysł, trwonimy lekkomyślnie a raczej bezmyślnie nasz nader skromny dorobek, którym moglibyśmy dużo tworzyć albo dużo nędzy ukoić. Skoro już śluby niemożliwe bez banalnych życzeń, byłoby może wskazanem, abyśmy sobie posyłali karty specyalnie na ten cel wykonane. Nasi artyści mogliby obmyśleć piękne karty pocztowe o motywach okolicznościowych, a byłoby 90 procent oszczędności i pozostałoby jakie 200,000 marek rocznie na kupno ziemi, a zjednalibyśmy sobie szacunek i uznanie nawet naszych wrogów, a wdzięczność pokoleń młodych.“

„Kuryer“ pisze, iż

„Ostmarce“ zapalonej słudze hakatystów, niepodobają się już nawet — formularze kościelne do zapisywania urodzenia i śmierci, drukowane w języku łacińskim, polskim i niemieckim. Urzędy proboszczowskie, pisze szanowna „Ostmark“, mogłyby bardzo dobrze używać wyłącznie języka niemieckiego, który dotychczas znajduje się na trzeciem miejscu.“

Że się też „Ostmarce“ chciało osiedlić tu w naszych polskich stronach; niechby wydała swe piśmidło w Transwaalu, a przynajmniej w piaszczystej Brandenburgii — a znalazła by tam tylko niemieckie formularze!

Na Górnym Ślązku okazuje się wielki brak uczniów dla rzemieślników, a to tem dotkliwszy i większy, im bardziej przemysł się rozszerza. Podobno nawet w powiatach rolniczych okazuje się brak uczniów. Najlepszym dowodem istniejących stosunków jest to, że pewien majster szewski z Pszczyny ogłasza w Orędowniku niemieckim powiatowym, że chętnie 10 marek zapłaci temu, kto mu nastręczy dobrego ucznia-terminatora.

„Dziennik Śląski“ pisze o tem:

„Niechby ten majster spróbował w polskiej gazecie, może by prędzej dostał ucznia. W każdym razie trzeba przyznać, że panuje brak uczniów, gdyż chłopcy albo idą do fabryki, huty lub kopalni do pracy, ponieważ tam więcej zarabiają, albo wychodzą w świat za robotą. Tymczasem tęgi rzemieślnik i przemysłowiec zarobi i dziś na chleb, byle miał dane po temu, to znaczy byle był pracowity i znał swój zawód. Wiemy dobrze, że bardzo wielu rzemieślnikom i przemysłowcom źle się powodzi, w każdym razie nie powodzi im się tak, jakby być powinno. Lecz na to w dzisiejszych czasach jest lekarstwo: zakładać spółki rzemieślników, łączyć się, aby się kształcić dalej, o ile możności, i pomagać sobie nawzajem.“

„Trzeba nawoływać do łączności, do spółek, ponieważ jedynie w ten sposób mogą rzemieślnicy i przemysłowcy sobie polepszyć. Każdy rzemieślnik, każdy przemysłowiec powinien być przejęty tą myślą i agitować za nią jak najlepiej pomiędzy znajomymi i współzawodowcami.

„Cechy powinny w łączeniu się i zakładaniu spółek pomagać. Gdzie tego nie czynią, trzeba pomyśleć o odrębnem towarzystwie. Skoro myśl łączenia się zwycięży, nastaną lepsze czasy dla rzemiosła.“

Sprawa powyżej poruszona może i dla Księstwa nie być bez znaczenia, o ile, że z większą radością należało by powitać budzący się w kierunku Górnego Ślązka ruch zarobkowy z Poznańskiego, niż ten sam ruch, skierowany w głąb Niemiec. Często widzimy obecnie, że z Poznańskiego rodzice wysyłają niedorostków do Berlina lub do innych miast niemieckich na naukę rzemiosła. Pod względem narodowym z pewnością lepiej by było, gdyby ruch ten zwrócił się obecnie na Ślązk, skoro tam pewna potrzeba się ujawnia.

Pomimo całej natężonej pracy kolonii polskiej w Berlinie, aby przeciwdziałać germanizacyi, germanizacya zwłaszcza młodego pokolenia zastraszające robi postępy, co też i na wiecu stwierdzono. Z drugiej strony zalecałoby się rodzicom Polakom, w Berlinie zamieszkałym, aby dzieci swe w polskie strony wysyłali, a przez to najpewniej uchronią je od germanizacyi.

Warto się nad tem bardzo poważnie zastanowić, ponieważ, widzimy, że liczba dzieci polskich w Berlinie jest znaczną. Niedawno temu **„Dziennik Berliński“** donosił co następuje:

„W berlińskich szkołach ludowych zazarządzono dochodzenie, jak donoszą pisma berlińskie, ile dzieci szkólnych umie mówić po polsku. Podczas gdy w szkołach ewangelickich rzadko tylko znaleziono tu i owdzie takie dziecko, w szkołach katolickich procent takich dzieci jest podpadający, i podnosi się z wiekiem dzieci. W niektórych klasach, liczących 40 do 60 dzieci, znaleziono 6 — 10 mówiących po polsku.“

Co prawda to sądzimy, iż liczby powyższe są przesadzone, mianowicie o tyle, że taki procent, jak wskazany wyżej, mógłby i powinienby mówić po polsku, niestety jednak nie mówi.

Z wychodźtwa — mianowicie z Gelsenkirchen — dochodzi wiadomość o wiecu, który się odbył w sprawie zapewnienia opieki duchownej w języku ojczystym. Przyjęto jednogłośnie dwie rezolucye, z których drugą za **„Wiarusem Polskim“** w Bochum, wraz z podaniem jego uwag, podajemy:

„Zebrani na wiecu w Gelsenkirchen Polacy-katolicy zapytują uprzejmie ks. proboszcza Maas'a, czy w przyszłości raczy się więcej starać o opiekę duchowną w ojczystym języku dla swych polskich parafian? Gdyby to nie miało nastąpić, wtenczas bylibyśmy zmuszeni zaniechać uczęszczania do kościoła parafialnego i odmówić płacenia podatków kościelnych.“

„Z pewnych względów można się nie godzić na rezolucyą, ale gdy się zważy, że rozdrażnienie Polaków z powodu tak macoszego traktowania ich pod względem religijnym jest wielkie, to nie można się dziwić, że wiecownicy taką rezolucyą powzięli. Wiec zakończono odśpiewaniem pieśni „Kto się w opiekę“. Za cztery tygodnie znów odbędzie się wiec w tej sprawie.“

W zupełności godzimy się na zdanie **„Wiarusa“**. Polacy w Westfalii doznali już niejednokrotnie takiego lekceważenia swych potrzeb duchownych, że ubolewając nad samą treścią rezolucyi, która raczej zaszkodzi niż pomoże sprawie, dziwić się jednak nie można, że w tak ostrej formie Polacy dają wyraz swym uprawnionym żądaniom.

O stosunkach na Górnym Ślązku znajdujemy w **„Orędowniku“** korespondencyę, której nie można tu pominąć, jakkolwiek grzeszy ona jednostronnością:

„Zabrawszy się raz do pisania, nie mogę na koniec pominąć jeszcze jednej sprawy, mianowicie sprawy Pomocy naukowej w Bytomiu. Może te słowa wywołają dyskusyę. Otóż z funduszu tej instytucyi udziela p. Napieralski obok pewnej liczby uczniów gimnazyalnych, z których to stypendyatów niemała część potem, będąc w uniwersytecie, nigdy po polsku nie rozmawia, i z Polakami się nigdy nie łączy, także kiku studentom Górnoślązakom stałego wsparcia. Między studentami polskimi z Górnego Ślązka musimy rozróżniać dwie kategorye: teologów — i studentów na wydziałach świeckich, których obecnie we Wrocławiu siedmiu. Studenci Górnoślązacy z małemi wyjątkami są synami robotników i drobnych chłopów. Łatwo pojąć, iż troska o byt materyalny nie mała. Teologom o tyle lepiej, iż mieszkają w konwikcie, gdzie na życzenie nie potrzebują płacić ani pomieszkania, ani za utrzymanie, a zapisuje im się to jako dług, który po ukończeniu spłacają. Przytem i z domu zapomogi napływają, bo przyszły ksiądz to dla matki ideał. Tem gorzej z studentami na mieście. Ci zazwyczaj z domu zapomogi nie mają, bo przeważnie wbrew woli rodziców zawód świecki sobie wybrali.

„O ile wiem, teolodzy otrzymują swe wsparcia bardzo regularnie na początku każdego semestru, studenci zaś na mieście często dopiero przy końcu semestru zapomogi odbierają.

„Może poruszenie tej sprawy wpłynie na usunięcie tej niedogodności.

„Przychodzi mi na myśl, czy mój artykuł nie wywrze przygnębiającego wrażenia. Osłabiać ducha i zaufania do sił własnych nie chciałem, przeciwnie, wska-

zać, jak te siły ukrzepiać. Dla tego kierowałem się przy pisaniu zasadą: fiat lux! — niech się stanie światło.“

O ile nam się zdaje, sprawa Pomocy Naukowej w Bytomiu już w zeszłym roku poruszana była. Skarżono się mianowicie wtedy, że Towarzystwo to wogóle nie działa. Zasługą p. Napieralskiego jest popchnięcie tej sprawy naprzód i faktycznie udzielanie stypendyjnych zasiłków z funduszów. Zarzuty więc pod adresem p. N. skierowane nie wydają się słuszne. *B. M.*



Głosy od Przyjaciół.

Szanowna Redakcyo!

Widząc, jak kochana nasza „Praca“ stara się o to, aby zwłaszcza w młodzieży naszej polskiej wzbudzić potrzebny zapał i chęć do pracy na dobro ogółu, nie mogę tu nie wyrazić przedewszystkiem mego uznania kochanej Redakcyi, jako jeden z tej młodzieży, która z jej łamów skorzystała bardzo dużo. Ale też boli mnie serce, gdy widzę, że usiłowania „Pracy“ nie dla wszystkich są zrozumiałe i nie na wszystkich działają. Niestety byłem ja niedawno w naszem mieście (w Gnieźnie) świadkiem bardzo przykrej sceny. Oto z jednej restauracyi wieczorem wyszło kilkunastu młodych ludzi, Polaków, a był to wieczór, gdy odbywało się posiedzenie miejscowego towarzystwa polskiego. Jeden z tych panów też powiedział: „Chodźmy do N. N“. i hurmem poszli do pewnej knajpy z damską usługą. Zrobiło mi się wtedy tak przykro, jakbym własnego mego brata w niebezpieczeństwie ujrzał! Bom wiedział, jak ta młodzież nasza, na której spoczywa cała nadzieja przyszłości, nie oglądając się na nic, niepomna obowiązków narodowych, spieszy ku otchłani, aby tracić zdrowie i pieniądz, aby się wyrzec narodowych ideałów.

Bracia! jeżeli się nie opamiętamy, jeżeli nasza młodzież nie będzie pielęgnować ducha narodowego, to cóż się wreszcie stanie z naszą Polską? Czyż to nasza młodzież wyrzekła się swej ojczyzny i nie wie o tem, że obowiązkiem jej jest popieranie towarzystw polskich, jest rozbudzanie a nie gaszenie ducha narodowego. Ileż to usiłowań i jak kosztownych usiłowań ginie na marne i odbija się o te twarde serca jak o opokę, której nic nie skruszy? Smutnem to jest, aby młodzieży polskiej trzeba było robić takie wyrzuty, ale może one do opamiętania doprowadzą.

A Szanownej, kochanej naszej „Pracy“, która nam jasny cel życia wskazuje — cześć i pozdrowienie!

Jeden z młodzieży z Gniezna.

* * *

Pieniaki, Galicya.

Szanowna Redakcyo!

Chcę tu wywołać maleńką dyskusyę i przytoczę fakt, który mnie się samemu zdarzył w stosunkach z kupcami naszymi. Do jednego otóż fabrykanta, który ogłasza się w „Pracy“, zgłosiłem się niedawno na mocy tego ogłoszenia prosząc o poinformowanie mnie o warunkach kupna i przysłanie próbek za zaliczką. Tymczasem nie otrzymuję żadnej odpowiedzi. Piszę drugi i trzeci raz — też nic. Nie wiedziałem co to znaczy i do dziś nie wiem. Potem ogłaszał się fabrykant Niemiec z Bremeny, więc napisałem o to samo do niego — i wiecie jaki był wynik? oto on odwrotną pocztą na łeb, na szyję poprzysyłał mi czenniki, informacye, warunki kupna, ba! nawet całe pakiety z próbkami. Oto się nazywa sprawność kupiecka — temu widać chodzi o klientelę, ale naszemu o nią widocznie nie chodziło, bo się o nią nie troszczył. Z bólem serca widziałem, że trzeba będzie Niemcowi, a może hakatyście, wysyłać za towar pieniądze, za które może on kiedyś, albo jego dzieci wykupywać będą ziemię polsk! Lecz cóż robić?

Oto panowie kupcy jeden, daj Boże, jeden z nielicznych przykładów niedbałości. Radbym, aby moralny sens z tego listu mego trafił do przekonania naszym zwłaszcza młodym kupcom, bo przecież nasz stan kupiecki, coraz to większą i poważniejszą rolę w społeczeństwie odgrywać powinien, a z tem w parze powinno iść materyalne polepszenie warunków. Niechaj że pozostanie jako zły przykład to lekceważenie sobie klienteli ze strony owego kupca w W., bo gdyby jego postąpienie miało być miarką naszych stosunków, to chybaby trzeba ręce załamać i zapłakać nad tym narodem, który doprawdy coś samobójczego by w sobie nosił. Niechaj nasz kupiec przewyższa jeszcze Niemca w dziesięćkroć pod każdym względem: pod względem akuratności kupieckiej i sumienności w handlu — a będzie go z czasem daj Boże przewyższał i pod względem bogactwa.

Z szacunkiem

Polecki.

* * *

Szanowna Redakcyo!

Jako stary znajomy i wierny czytelnik pospieszam donieść o fakcie, który niedawno temu miał miejsce tu w Erfurcie, na tutejszej poczcie. Znajomy mój pan Kołpowski poszedł do okienka pocztowego, aby zamówić „Pracę. Czeka, czeka, a tu urzędnik jakoś niezwyle ociąga się z zapisaniem. Wreszcie szperając w książce, pyta się:

— Czy ta „Praca“ to jest to pismo z Poznania?

— Z Poznania odpowiada mój przyjaciel.

— A to pewnie jest to pismo polskie, którego redaktor musiał zostać wydalony przez rząd za zwalczanie władzy?

— To samo pismo.

— A pocóż pan czytuje takie pismo polskie — zapytuje urzędnik.

— Z jakiej racyi pan pyta? odrzekł p. Kołpowski, spoglądając na urzędnika ze zdziwieniem. — No, przecież pan, jako poddany niemiecki, nie powinien czytywać takiego pisma

— Jestem Polakiem, odrzekł pan Kołpowski, a pańskich rad nie potrzebuję. Na to ów urzędnik umilkł.

I wygląda to całe zajście na to, jakby może z góry zalecono urzędnikom odmawianie abonowania „Pracy“ i dlatego piszę o tem do redakcyi. W każdym bądź razie postąpienie tego urzędnika było w wysokim stopniu niestosowne Urzędnik jest po to, aby publiczność obsługiwał, która płaci pieniądze, a nie po to, aby jej rad udzielał.

Zwracam się tu do wszystkich czytelników „Pracy“, którym by się może coś podobnego przytrafiło, aby nie dali się czasem odstraszyć od zapisania „Pracy“, lecz, aby niezwłocznie o tem donieśli redakcyi. Postępowanie takiego urzędnika jest karygodne i redakcya w każdym takim wypadku stawi wniosek o ukaranie, ponieważ ponosi przez to szkodę materyalną.

Zamykam ten list słowami: Popierajmy kochaną naszą „Pracę“! *Z. Z.*

Erfurt, dnia 4 sztycznia.



W przystani.

Sróż się zimo!.. Próżne szały
Ja groźb twoich się nie trwożę!..
Widzę — rzuca chłodne łoże
Genjusz zimy — olbrzym biały;
Broda jego siwa szronem,
Djadem z lodu brylantowy
Wielkiem okiem półzbudzonem,
Sieje pomrok biegunowy...
Na to hasło aniołowie
Rozbijają śniegu puchy:
Pościel ziemi na sen głuchy —
Kraczą wrony po dąbrowie;
Z wędrującem ptactwem w zmowie
Chmury wiążą się w łańcuchy...

Sróż się zimo!... — Zachód wstaje
Jak krew świeża purpurowy,
Od gór dyszy wiatr surowy,
Szkieletami sterczą gaje,
Mgła chłodnemi usty chucha
Na okienek szkła przezrocze,
Czai się na sosn warkocze
Rozczochrana zawierucha;
Niebo szare — ziemia głucha,
W koło śmierć już i zamrocze...

Sróż się zimo!... Już ja pewny!
W domku mego mur z modrzewiu
Orszak prządek zwiodę śpiewny,
I rozdmucham skrę w zarzewiu,
Z trzaskiem rzeźwy ogień buchnie,
Umaluje ciche ściany
I blask rzuci pozłacany
Na twarz mojej białej druchnie,
Złote iskry podczas tany...
W czarną czeluść mknąc leciuchnie...

Przed ogniskiem pies domowy
Wierną głowę złoży cicho,
Skrę wyrzuci z ognia licho,
Za okienkiem hukną sowy;
W drzewie duszka się pożali,
Swierszcz odezwie się w szczelinie;
Nieskończony wieczór płynie,
Jak zaklęta łódź po fali,
A godzina po godzinie
Cichem szczęściem Boga chwali!...

Noc czem głębsza — w duszy jaśniej!...
Nowe dzieje, stare baśni,
Dwoje dziatek na kobiercu,
Dwoje białych rąk przy sercu;
A przez ścianę prządek nuta,
Jak nić... długa... rozesnuta...
Czarna dola idzie mimo...
Jak mi cicho... Sróż się zimo...

Wł. Ordon.



CZĘŚĆ PIERWSZA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Musimy teraz na chwilę porzucić Zaskale i przenieść się do majątku pana markiza Kettelera, którego nam bliżej poznać wypada. Główna jego ryzydencya była w Łaszczyńcach, majętności obszernej o kilku folwarkach na bujnej ziemi podolskiej, odległych od Gradowiec o dobre dwie mile, czyli wedle moskiewskiego podziału przestrzeni o wiostr 20. Pół mili za Zaskalem, które dzieliło jedynie Łaszczyńce od Gradowiec, zaczynało się terytoryum JW. markiza Kettelera, i to było najwyższą zgryzotą. Połknąć jakimkolwiek sposobem Zaskale, było najulubieńszem marzeniem Kettelera, celem jego jedynym.

Z kilku już rysów, poprzednio rzuconych, poznaliśmy już po części usposobienie i charakter, czyli — lepiej powiedziawszy — brak charakteru pana markiza, którego przy bliższem poznaniu nie trudno nam przyjdzie ujrzeć w całej okazałości. O jego powierzchowności nie wiele się da powiedzieć: chyba że jak wewnątrz był brak charakteru, tak znowu zewnątrz brak powierzchowności, wart zastanowienia bliższego, był jego głównem znamieniem. Jego kusa, podsadkowata postawa, z wystającym dobrze wypasionym brzuszkiem, z głową łysawą, pokrytą resztkami włosów, niegdyś bardzo jasnych, przyprószonych już lekką siwizwą, twarz pyzata, więcej szeroka jak długa, doskonale wygolona, z próbką problematycznych wąsów na wydętych ustach, które od lat dwóch dopiero zapuścił; oczy wreszcie siwe, okrągłe i dosyć wydatne, ale zawsze spuszczone, jakby nie chciał czy nie śmiał otwarcie niemi drugim w oczy zaglądać, lub może uważał niżej arystokratycznej godności swojej, by niemi patrzyć na tyle niższe od niego tłumy, wszystko to razem wzięte wystarczało wszakże do prawdziwie baronowskiej powierzchowności i powagi arystokratycznie reprezentancyjnej, z jaką, choć nie głową ani sercem lub sumieniem, ale dumą, pewnością siebie i zarozumiałością iście moskiewsko-niemiecką przodkował pomiędzy dobroduszną szlachtą powiatową, a nawet po części i guberską. To też i prócz żądzy zaokrąglenia majątku połknięciem Zaskala, drugim celem żywota marszałka powiatowego było zostać naczelnikiem gubernii. Takich niemieckich Kettelerów, lub jakkolwiek się inaczej nazywają, którzy się na naszej ziemi dorobili, odwdzięczając się za to w iście pruski sposób — posiadaliśmy do czasów ostatnich bardzo wielu w ziemiach polskich, pod rządem moskiewskim zostających, i niestety!... powiedzieć nie możemy, byśmy nie posiadali ich dotąd jeszcze po całej szerokiej ziemi naszej ojczystej...

Pan Kettl — później już Ketteler, i dlatego właśnie był arystokratą jak najmocniej nadętym, i sam siebie rachował do arystokracyi pierwszej wody. Miał ci też do tego prawo niezaprzeczone, bo choć po mieczu o Kettlu ani dzieje ani herbarze nawet nie pisały, ale za to babka Kettla — późniejszego markiza Kettelera — była najprawdziwszą księżniczką, która dożywszy w panieństwie wielce zbliżonej czterdziestki, wniosła w ród Kettlów wielce gołą mitrę...

Współobywatele pana markiza rozmaicie czasem gadali o tej arystokracyi de Kettlera i byli nawet starzy wyjadacze niepoprawni, wertujący więcej jak po herbarzach, po kronikach skandalicznych, którzy z drwiącą miną twierdzili, że nazwa Kettel jest bardzo stosowną nazwą na Kitel a zniemczoną na Kettel, by odpolszczyć ostatecznie na de Ketteler, a na poparcie tego rozpowiadali stare dzieje o dziadku stryjecznym pana markiza, który kolegując z sławnym Walickim i innymi szulerami, którymi nas obdarzył dwór Stanisława Augusta, gnojony zepsuciem moskiewskiem, z Petersburga furami do Warszawy przywożonem — zdobył znakomitą fortunę po rozmaitych stolikach zielonych w faraona i inne gry szulerskie, w które niestety... część znaczna najznakomitszego społeczeństwa naszego, przegrała najprzód mienie własne, i cześć własną, a w końcu i ojczyznę.

Młodsze pokolenie przyznawało Kettelerowi prawo do arystokracyi, mianowicie, gdy przed perjodycznemi wyborami pan markiz obkarmiał i opajał należycie, przemawiając przytem z wielkim zapałem do szlachty.

W takiem znaczeniu pan Aleksander de Ketteler, marszałek powiatowy w rzeczywistości, a guberski w nadziei — był arystokratą primo i był zarazem postępowcem folblutowym. Jakkolwiek wyżej niewiele o jego głowie pochlebnego nadmieniłem, muszę to przyznać, że jeżeli nie miał dość głowy do zrozumienia logiki narodowej, a tem mniej logiki historycznej, miał w niej właśnie tyle mózgu, ile potrzeba na utworzenie porządnego spekulanta. Do wszelkich wyrachowań przemysłowych i konceptów w spekulacyjnem korzystaniu z przemysłu, miał właśnie tyle rozumu, ile w swej ręce tłuściutkiej, wystającej z szerokich, zakasanych z bankierska rękawów, i w długich a żywych palcach zdolności do obcinania kuponów.

IX.

Taki brylant czystej wody, jakim był pan markiz, musiał też mieć godny siebie futerał, odpowiednie puzderko do schowania. Futerałem i puzderkiem naszego markiza był jego pałac w Łaszczyńcach. I rzeczywiście był to godny jego futerał. Patrząc na markiza i pałac jego, mimowolnie przychodziła na myśl przysłowiowa zagadka: Wart Pac pałaca, a pałac Paca. Ojciec Kettelera, gdy te dobra po szulerze stryjaszku objął w posiadanie, zastał tam stary dwór murowany, obszerny i wygodny i choć został markizem, tyle miał rozumu, że się w nim mieścił doskonale. Ale syn jego, nasz pan Aleksander, tak nazwany na cześć cara Aleksandra Pawłowicza... inne miał wyobrażenia o puzderku, godnem wzmagającej się w mienie rodziny de Ketteler.

Nam trzeba pałacu! — przemówił stanowczo, i wziął się do urzeczywistnienia swej myśli.

— Zwalił stare domostwo i jął budować nowy pałac. Z drogi po kraju rodzinnym, zostały mu w pamięci dwa pałace, które mu najmocniej przypadły do pańskiego gustu. Pierwszym był pałac Ilińskich w Romanowie, lecz że miał zawsze skłonność do rachunkowości, zdecydował, że wystawienie takiego gmachu, za drogo by go kosztowało. Został zatem przy drugim wzorze. Był nim pałac w Kodni, między Berdyczowom a Zytomierzem pana jenerała (wojsk niewiadomych) Korzeniowskiego. O panu jenerale Korzeniowskim, jego pałacu, i całem wogóle jeneralstwie, jako też obywatelskiem stanowisku, jeżeli mi kiedy starczy czasu i swobody opowiem czytelnikom moim w pamiętnikach, których napisanie jest od dawna mojem marzeniem najmilszem. A zaprawdę ciekawe wcale szczegóły łączą się z pałacem w Kodni, i całem ówczesnem społeczeństwem, jak je sobie przypominam z lat mych wiośnianych.

Więc tedy stanął w półkole pałac, architektury, jaką tylko mogła wymyśleć w czasach skażenia się smaku, idąca w parze ze skażeniem głowy i serca bujna a głupia fantazya spanoszonego, z wrogami kraju zaprzyjaźnionego Niemca. Przejechawszy kraj nasz w różnych kierunkach, można jeszcze zdybać z końca wieku minionego a początku bieżącego pozostałe próbki takich dziwolągów architektonicznych. Był więc i pałac we środku, i łukiem zagięte galerye z dodatkami oficynowemi, do których pan Aleksander dodał jeszcze własnego konceptu wieżyczki, ni to minarety, ni to chińskie altanki, nadające całości powierzchność najpocieszniejszą. Było coś mandaryńskiego w całym gmachu.

Dla słuszności, choć to właściwie nie należy do rzeczy — trzeba przyznać, że pan Aleksander, gdy już ukończył puzderko dla siebie, pomyślał i o Panu Bogu, który mu się pozwolił urodzić w tak sprzyjających okolicznościach, i dozwolił mu zostać marszałkiem powiatowym. A więc naprzeciw pałacu, oddzielony tylko ulicą potrójną topolową i obszernym placem, wystawił dom też dla Pana Boga. Dom ten ledwie można było nazwać kościołem, już głównie dla tego, że go więcej dla własnej próżności wybudował, niżeli dla chwały Boskiej; nareszcie z tego powodu, że w całej architektonicznej gmachu powierzchowności, było trochę świątyni pogańskiej, trochę bużnicy żydowskiej, a najwięcej, mianowicie w banialstej, nieregularnej a sowicie złoconej kopule, stylu byzantyńsko-cerkiewnego. Tym ostatnim dodatkiem chciał zapewne

w świątyni nawet Bogu przeznaczonej, wyjawić światu swą lojalność. I aby wszem wobec i każdemu z osobna był wiadomym cel i nie tajną myśl przewodnicząca budowie, na portyku wchodnym był napis odpowiedni. Pomiędzy ciasne gzymsiki wpakował fundator mniejszemi literami czarnemi:

D. O. M.

Bogu na chwałę.

a na miejscu najszerszem, łokciowemi literami, wypukłemi i złocistemi wypisane było:

Wystawił Jaśnie Wielmożny

ALEKSANDER de KETTELER

Szambelan, marszałek powiatu kamienieckiego, kawaler Krzyża Miechowskiego, właściciel Gradowiec, Łaszczyniec, Małej i Wielkiej Woli, Podleśnik, Berezówki, Władkowiec, Zarzeczki, Aleksandrówki itd. itd. itd.

Dodajmy na zakończenie, że w kościele koło samego ołtarza, a raczej nad nim panująca, była obszerna loża dla rodziny pańskiej, z której przy nabożeństwie mógł jaśnie wielmożny markiz patrzeć z góry na księdza podnoszącego kielich i na lud klęczący pod nim. Pod lożą jaśniał herb ogromny.

Przed pałacem był obszerny bardzo dziedziniec, zamknięty kratą pozłocistą i ogromna brama, w której dwa olbrzymie wielkoludy kamienne podtrzymywały takąż samą jak pod lożą kościelną edycyę herbową, żywemi barwami na blasze malowaną, z dodatkiem bogatej w rozmaitą broń armatury, i wiszących orderów bez liku. Cały dziedziniec okolony żwirową drogą, zasiany był murawą, otaczającą kompas niepospolitych rozmiarów.

Na dziedzińcu, w chwili gdy wchodzimy do pałacu, widzimy kilkanaście powozów zaprzężonych, widocznie na odjazd zgromadzonych gości oczekujących. Jakoż potrzaskiwanie biczów zdawało się zgromadzonym dawać hasło do odjazdu, rodzaj pobudki niecierpliwych furmanów.

Było to już koło zachodu słońca i był to koniec zjazdu znacznej części obywatelstwa okolicznego, którego pozornym powodem był blizki wyjazd pana markiza do miasta powiatowego, a zatem pogadanka o sprawach powiatowych. Lecz dla powieściarza, ktory wie wszystkie najskrytsze tajniki, wiadomem jest, że zjazdu tego była inna, daleko głębsza przyczyna, której się zaraz dowiemy.

Od ogrodu była sala wielka, przez dół i piętra sięgająca, którą pan marszałek sam nazywał (nazwisko to powtarzając jak najwięcej przy każdej sposobności) salą przodków. I w rzeczy samej ściany były zapełnione obrazami, z których wyglądały twarze męzkie i kobiece w strojach różnych wieków, z bułatami, buzdyganami, robronami, kornetami najdoskonalej oddanemi — a w takiej ilości, żeby nimi rodzina Kettelerów mogła była bezpiecznie obdarzyć ze cztery jeszcze najstarsze rodziny szlacheckie — a dla wszystkich byłoby dosyć antenatów i antenatek. Pan markiz zamówił tę galeryę u jednego malarza warszawskiego w czambuł, zostawiwszy mu nietylko artystyczne wykonanie, ale i wielce ku temu potrzebne a najrozleglejsze studya historyczne w odpisie. A że dosyć dobrze malarzowi zapłacił, więc też malarz sumienny wpakowawszy protoplastę w jakieś romantyczne szaty bajecznych dziejów naszych, z pogańską kolczugą w potężnej prawicy, dalszy szereg potomków podzielił najsumienniej na wszystkie wieki aż po czasy najpóźniejsze, zachowując stosowne ubiorowe draperye i dodając miasto podpisów początkowe litery piastowanych urzędów i tytułów, z czego zdziwiona i olśniona szlachta podolska mogła się dowiedzieć, że rodzina Kettelerów miała pięciu hetmanów rozmaitych buław, trzech kasztelanów krakowskich, wojewodów piętnastu, biskupów drugie tyle, siedmiu arcybiskupów, a nawet jednego kardynała wypasionego, z potężnym kapeluszem na głowie... Aby dzieło najsumienniej ukończyć, zadał sobie pracy malarz, aby wszytkim twarzom nadać podobieństwo rodzinne... Wyraz twarzy markiza odbijał się aż miło po twarzach wszystkich.

— Jeżeli rodzina historyczna cezarów niemieckich może się odznaczać znanym kształtem ust — mówił malarz z zapałem — dlaczegoż wybałuszone oczy i gulowate nosy nie mają być dziedzicznemi w sławnej rodzinie Kettelerów czyli Kettlów?

To też typ próżności zewnętrznej i wewnętrznej, umiał malarz z stosownem urozmaiceniem zachować wiernie na wszystkich twarzach. Z dumą i przyjemnością mógł patrzeć na przodków swoich i powiedzieć śmiało:

— Jam do nich podobny!... oni podobni do mnie!...

W tej sali pan markiz nagromadził istny lamus sprzętów niby starożytnych, skupowanych po różnych licytacyach, co sali przodków nadawało typ sklepu starych gratów... Aby uwzględnić nareszcie ducha wieku w jakim żył, jednę ścianę ubrał markiz w nowożytne ryciny i obrazy, lustra i kandelabry, i oparł o nią dęte i rznięte sprzęty tegoczesne. Dla własnej nareszcie satysfakcyi umieścił przy wysokich drzwiach, na ogród wychodzących, dwie ogromne klatki z dwiema papugami różnobarwnemi. Marszałek był strasznym lubownikiem papug, twierdząc zawsze:

— To zwierzę bardzo rozumne!...

W tej więc sali zastajemy zgromadzonych gości, widocznie już na wyjezdnem, bo wszyscy uzbrojeni już w czapki, kapelusze, kończą właśnie podawaną na ogromnej tacy, w maleńkich filiżaneczkach słabiutką herbatkę, koloru nader paliowego. Herbaty tej rozdawano zwykle mnóstwo u p. markiza, jakby u źródła wiecznego na górze Mendoga. Herbata zastępowała u markiza miejsce innego, a mianowicie winnego traktamentu. Pan markiz uważał herbatę za trunek arystokratyczny i wielce salonowy, a mianowicie (to sobie myślał tylko) daleko tańszy od wina.

Pan kamerjunkier, syn pana markiza, przed laty trzema, gdy wrócił z Petersburga, wspominał często, potakując ojcu i herbacie, że nawet u cara przy najznakomitszych traktamentach, gościom rozdają herbatę w małych filiżankach. Do innych więc zalet herbaty, prócz taniości, zdrowości, przychodziła jeszcze zaleta lojalności, do tego trunku czysto moskiewskiego przyłączonej.

Zdanie to wszakże o lojalności, stosowanej do trunków nawet — choć w rozdaniu herbaty zachowaną została — mocno się zmienić musiało w usposobieniu tak ojca jak syna, miarkując po głównym celu zgromadzenia, o którem mowa, i po rozmowie choć gasnącej, ale ożywionej szlachty zgromadzonej.

Całej rozmowy od początku aż po jej koniec powtarzać nie będziemy, bo któż się podobnej rozmowy do syta nie nasłuchał w roku zbawienia 1862, (nie wiem, czy już powiedziałem, że się powieść moja zaczęła w tym roku na początku jesieni). Wszakże z jej ostatnich ułamków, co jeszcze tu i owdzie odzywały się, niby ostatnie strzały walnej bitwy, łatwo zrozumiemy jej cały wątek i znaczenie.

Zgromadzenie było dość liczne. Było ze trzydziestu szlachty, kilkunastu księży, a między nimi dwóch kapucynów. Widzimy także między gośćmi znanych już nam rotmistrza Gradowskiego i pana Stanisława Wydrę. Powiódłszy oczami po twarzach zgromadzonej szlachty, łatwo było przekonać się, że wyrazem ich ogólnym była jakaś serdeczna poczciwość, chwytająca za serce. Uwagę tę zresztą, mniemam, każdy już nieraz zrobił, gdy miał sposobność być w podobnem zgromadzeniu. Mimowolnie przyznać musi człowiek najwięcej uprzedzony, choćby przesiąknięty myślami i uczuciami najradykalniej odznaczonemi, że z twarzy naszej wiejskiej szlachty, z bardzo małemi wyjątkami, wieje coś zupełnie rodzinnego, coś tak naszego, tak dziwnie kordyalnego, na co składają się nietylko zalety serca dobrych ojców rodzin, poczciwych sąsiadów, do swej ziemi przywiązauych obywateli, ale nawet wcale zdrowy rozsądek, ten rozum praktyczny, zwany gospodarskim, który się w całej szlachcie naszej, indywidualnie wziętej, odbija typowo bez wyjątku prawie.

Wyraz ten był w zgromadzeniu, o którem mowa, spotęgowany i wzniesiony niejako zapałem, jaki błyskał z oczów — zapałem tem szczerszym, że się obudził po cieniutkiej herbacie markiza — i pewnem rozrzewnieniem, które się głównie odbijało w ruchach ich rąk, wyciąganych naprzód, jakby wzbierała serca zgromadzonych coraz mocniejsza ochota porwania się za ręce i uściśnienia serdecznego.

Wyraz ten jest tak bardzo typowym u naszej szlachty, że możnaby go niejako nazwać historycznym — bo też w rzeczy samej, przyzna mi to każdy, kto był obecnym przy takim zgromadzeniu, jeżeli je rozgrzeje ciepło myśli lub uczucia, że w patrzącym, który miłuje swoją ziemię i rozumie choć dzieje tej ziemi, robudzić się musi mimowolnie jakieś uczucie, którebym sobie pozwolił również nazwać historycznem. Patrząc na te twarze, tak serdecznie sympatyczne, przypomni on sobie naprzód twarze tych wszystkich swoich, których pochował, a po nich zaczną mu się przesuwać obrazy przeszłości dziejowej — większych zgromadzeń szlacheckich, czy na bój czy na radę zebranych — jak je sobie przypomina, czy z tego co czytał, czy z tego co słyszał w podaniu, w pieśni ojczystej, lub w młodzieńczem marzeniu o nadziejach, każdemu sercu polskiemu wspólnych. Jeżeli była w tym wyrazie jaka dysharmonia, jaki dysonans, to chyba w tej miękości wyrazu ogólnego twarzy zgromadzonych, którą w zgromadzeniu u mar-

kiza spostrzegamy. Miękość ta, przypatrzmy się jeno bliżej i lepiej — pochodzi widocznie z tej niedeterminacyi, jaką spostrzegamy we wszystkich prawie spojrzeniach, wahających się z jednej na drugą stronę.

Ta niedecyzya, ta niepewność wahająca się, jest jedyną a ogromną przywarą naszej poczciwej szlachty, ona to zaćmiewa i niszczy nieraz, bo bezpożytecznemi czyni jej największe zalety. Przywara to także nasza zupełnie, przywara dawnego, w dawnej naszej społeczności nabranego narowu. Jest zapał, jest rzutność, ale samoistności często brakuje, bo w naszej przeszłości przyzwyczailiśmy się koniecznie oglądać na owych przewodników, których zdanie pociągało za sobą całe towarzystwa szlacheckie, gotowe rąbać i dać się rąbać za nich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

— Nie zniosę tego dłużej, muszę wyjechać! — mówił Artur kilka dni później do Janiny.

Był to piękny, cichy wieczór letni. Sir John czytał w bibliotece gazety, lady Marstone była u Helenki. Artur prosił Janiny, aby wyszła z nim do parku, a odmowne słowo zamarło na jej ustach, gdy spojrzała na jego twarz, wyrażającą najwyższą boleść i przygnębienie.

— Muszę się z tobą stanowczo rozmówić, — rzekł, ściskając namiętnie jej ręce. — Stracę zmysły, jeżeli rzecz ta nie zmieni się wkrótce. Życie moje wydaje mi się istnem szyderstwem, wiem, że ulegnę w tej okropnej walce z przeznaczeniem. Nie mam żalu do Helenki.....

Nie, — przerwała Janina, — nie można się na nią gniewać!

Nie, a jednak ona jest powodem naszego nieszczęścia! I ja nie mogę tu siedzieć bezczynnie, muszę koniecznie pomyśleć o naszej przyszłości! Cieszę się bardzo, że ona zdrowsza, i że przyczyniłem się do tego, ale teraz musi się ta komedya skończyć, bo nie mam bynajmniej zamiaru poświęcenia jej jedynego mego szczęścia. Codziennie zabieram się do wyznania jej prawdy, ale zdaje mi się, że ona nie jest dosyć jeszcze silną, aby mogła to znieść!

— Na Boga, Arturze, nie mów nic! Helenka umarłaby!

— I ja się tego obawiam!

— Ona cię tak bardzo kocha! Nie myślałam nigdy, aby to dziecko było zdolnem do takiej miłości! Ach, najdroższy, dla nas jedna tylko pozostała droga!.....

Łzy nie pozwoliły jej mówić dalej. Lord Chesley spojrzał na nią zdumiony.

— Jaka? — zapytał krótko.

— Myślałam o tem dniem i nocą, ale nie ma innego wyjścia..... Musimy się wyrzec wszelkiej nadziei — musimy się rozstać.....

— I ty mówisz tak spokojnie! — krzyknął Artur w uniesieniu.

— O, nie masz pewnie wyobrażenia, ile ja cierpię. Życie moje jest zniszczonem, nie widzę jednak żadnego ratunku. Zostaje nam tylko obowiązek.....

— Nigdy! nigdy, Janiu! Nie obawiaj się, ukochana, nie obrażę uczuć twoich żadnem słowem, dopóki dziecko to ma prawo do mnie, ale chcę wywalczyć moją wolność, aby zdobyć ciebie! Nie płacz, Janiu, nie mogę patrzeć na twoje łzy!

— Więc co zamierzasz uczynić, gdy Helenka będzie zupełnie zdrową? W jaki sposób odzyskasz wolność?

— Nie rozumiem cię!

— Przecież małżeństwo, zawarte ze zgodą obydwóch stron nie może być rozwiązanem!

Artur wiedział o tem, ale pomimo to miał nadzieję, że potrafi uzyskać rozwód.

— Tak — odrzekł, podnosząc głowę — ja jednak zgodziłem się na to dlatego tylko, że myślałem, że... ona... umrze.

— Bądź co bądź zgodziłeś się, a to wobec prawa najważniejsze. Powód, że później żałowałeś swego postępku, nie ma żadnej wartości.

— To nie podobno! W każdym razie muszę mieć pewność. Jutro pojadę do Londynu, do najsławniejszego adwokata. Gdybyś ty miała słuszność, Janiu, wtedy zwątpiłbym o wszystkiem, ale to być nie może, aby można kogoś zmusić do...

— Na moją prośbę — przerwała smutnie — dałeś słowo dobrowolnie, więc o przymusie nie było mowy. Nie mówmy już o tem dopóty, dopóki nie zasięgniesz rady adwokata!

— Nie odbieraj mi wszelkiej nadziei — prosił Artur z rozpaczą. — Skoro tylko dowiem się, w jaki sposób mogę odzyskać wolność, i gdy Helenka będzie zupełnie zdrową, powiem jej wszystko i zażądam zwrotu danego słowa. Wtedy miłość moja wynagrodzi ci twoje cierpienia!

— To się nigdy nie spełni — szepnęła Janina z rozpaczą. — Ale musimy się uzbroić w cierpliwość i ochraniać o ile możności biednej Helenki.

Nazajutrz oświadczył Artur, że musi jechać do Londynu, a wiadomość ta wielkie wywołała zdumienie.

— Nie możesz poczekać jeszcze kilka dni? pytała Helenka smutnie.

— Nie, jest to sprawa zbyt ważna!

— Że wy mężczyźni zawsze macie jakieś sprawy do załatwiania. Nie mógłby cię papa zastąpić? Bo on uczyniłby wszystko, abyś ty nie potrzebował mnie opuszczać!

Słowa te wzruszyły go, a sir John i lady Marstone ubolewali tak bardzo nad koniecznością tej podróży i życzyli przez wzgląd na córkę tak gorąco prędkiego powrotu, że Artur gorzkie sobie w duszy robił wyrzuty. Gdyby oni wszyscy wiedzieli, po co on tam jechał!

— Nie baw długo — prosił sir John, Helenka zaś zapewniała uroczyście, że będzie liczyła godziny do jego powrotu, i że najchętniej chciałaby ciągle spać w czasie jego nieobecności.

Lord Chesley wiedział, że nie postępuje otwarcie i uczciwie względem tych osób, które go tak kochały, a pomimo to nic w świecie nie zdołało go powstrzymać od chęci zrzucenia z siebie więzów, jakie dobrowolnie na siebie narzucił. Miłość jego dla Janiny była zbyt głęboką i gorącą.

Po przybyciu do Londynu udał się natychmiast do pana Lubanka, najsławniejszego adwokata w stolicy.

Była to okropna godzina, którą przebył w przedpokoju człowieka, mającego rozstrzygnąć całą jego przyszłość. Lubank był zajęty i nie mógł go zaraz przyjąć, a czekanie to gorszem nieomal było od najgorszej pewności.

— Dziwna to sprawa, z którą przychodzę do pana — rzekł, gdy go nareszcie wprowadzono do pracowni adwokata. — Wszystko, co panu opowiem, brzmi dosyć nieprawdopodobnie, a jednak, niestety, tak jest rzeczywiście.

— Lubank słuchał uważnie, a gdy Artur skończył, zamyślił się głęboko.

— Dziwne, istotnie, bardzo dziwne — rzekł po chwili — ale na świecie dzieją się różne rzeczy. Nie mogę panu żadnej dać nadziei, bo nie ma powodu unieważnienia małżeństwa. Wszakże pan nie masz nic do zarzucenia swej żonie?

— Nie!

— Więc nie zawarłeś pan tego związku z wolnej woli! Trudna rada, milordzie, rozwodu nie uzyskasz.

Artur zerwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju, a twarz jego zdradzała jawnie walkę, jaka się w sercu jego toczyła. Usłyszał teraz potwierdzenie tego, czego się obawiał, ale w co żadną miarą uwierzyć nie chciał, to jest, że żadna siła ludzka nie mogła mu wrócić gorąco upragnionej wolności.

— A zatem owe kilka słów — zapytał, zatrzymując się przed adwokatem — wymówionych z dobroduszności mają zniszczyć całe moje życie?

— Trzeba się panu zapatrywać na sprawę tę z innej strony — odrzekł Lubank. — Jest to wprawdzie kilka słów tylko, ale celem ich jest połączenie dwojga osób na wieki!

— To być nie może! Nie chciałem się przecież wiązać wbrew mojej woli!

— Wszakże nie stało się też nic wbrew woli pana! Bo ile zrozumiałem poprzednio, to zgodziłeś się pan wówczas na życzenie miss Marstone.

— Tak, myślałem jednak, że mam przed sobą umierającą, której ostatnie życzenie miało być spełnionem. Gdybym był przeczuł, że ona wyzdrowieje, nie byłbym się nigdy dał do tego namówić.

— To na jedno wyjdzie! Smutna rzecz, ale zmienić nic nie można. (C. d. n.)

SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

Skreślił Henryk Mierzeński.

(Ciąg dalszy.)

V.

Ojciec i syn.

O dobre pół mili od Pyzdr, na drugim brzegu Warty, leży miasteczko Lądek. W około rozciągnął się tam gęsty, nieprzejrzany jar; wysokie, czarne buki wznosiły się tam pod błękit, a szare, rosochate dęby i smukłe sosny, osłonione u stóp niezliczonym mnóstwem młodziuchnych krzewów, poważnie gwarzyły sobie o przeszłej młodości, o dawnych przeżytych wiekach... A środkiem jaru szumi stara Warta; ponad brzegiem wybujałe wierzby, srebrne olchy lub gdzieniegdzie znowu bielutkie brzózki kąpią swe urodne, zielone sploty w jasnem zwierciadle rzeki... A stara rzeka smutnie się coś zadumała; snać nie po myśli jej pędzić statki i tratwy z ojczystem zbożem hen tam gdzieś daleko, do Niemiec za Odrę, by karmić cudzy naród krwawą pracą ludu... I cicho, głucho w starym jarze; myślałbyś, żeć żywa dusza tu nie pozostała, że nikt nie słuchał gwaru drzew i szumu rzeki.... chyba jaki flisak, wracający z dalekiej obcej ziemi do ojczyzny, do rodziców, z wesołą piosenką na ustach i z białemi, niemieckiemi talarami w kabzie, za polską pszenicę... Jest jednak jedno miejsce w jarze, najprzystępniejszy zakątek lasu, znany wszerz i wdłuż w okolicy pod mianem „Kopani Michałowej“. Jakieś stare podanie wiąże się z nazwą tego odosobnionego krańcu jaru; często też tam napotkasz w dnie świąteczne siwego dziadka, odpoczywającego pod cieniem zwisłych splotów rozkosznych brzózek, hoże dziewczęta lub dzieci z dzbankami, przepełnionemi leśnemi jagodami. Dziś nie znajdziesz tam ni dziadka siwego o kiju, ni wesołych dziewcząt z dzbankami, nie usłyszysz rzewnej nuty piosnki wieśniaczej, ni głośnego echa hukających po jarze dziewcząt; ale dojdzie do uszu twoich jakiś poważny, święty śpiew stu piersi męzkich, hymn konfederatów, z głębi jaru wychodzący.

Na obszernej, lesistej łące, będącej niejako zakątkiem „Michałowej kopani, klęczą nasi Pyzdrzanie — i z pierwszym brzaskiem dnia witają pieśnią wszechmocnego Stwórcę. Rumiana zorza zaczerwieniła szczeliny drzew jaru, orzeźwiła kwiaty poranną rosą i pobudziła uśpione po gniazdkach ptaszęta; a rzewna pieśń płynie z echem po rosie, płynie dalej — dalej w jar i znika...

„Dla kogoś Panie wyniósł krzyż swój drogi,*)
Komużeś okup sprawił z męki srogiej?
Nam prawowiernym dar ten litościwy,
Kto prześladowcą, niech nam będzie mściwy!

O Boże! Stwórco wszech rzeczy na niebie,
Niech nieprzyjaciel praw wiary nie gniecie,
O Jezu Chryste! coś przez swą śmierć nadał,
By odszczepieniec nad nami nie władał!

O duchu święty, w Trójcy jeden Boże,
Złym duchem tknięty niechaj nas nie zmoże,
Do ciebie, Boga, my wszyscy wołamy,
Pod uciskami ledwo oddychamy...

Ratuj! ach ratuj! tarczą bądź, obroną,
Pokaż swą łaskę nad naszą koroną,
Dałeś nam życie w krzyża swego znaku,
Pod takiem piętnem nie zginiesz Polaku.

Wy święci Pańscy, a nasze rodaki,
Wspierajcie braci, brońcie nieboraki,
Niech zgubca wiary z wolnych nie szydzi,
Niech się przed niebem i ziemią zawstydzi!...
Amen!“

— Hej! hej! — mruknął przeżegnawszy się pobożnie pan Maciej, cechmistrz kowalski — coś to się tam teraz u nas dzieje!... Moja Kordusia pewnie gdzieś tam zawodzi i narzeka... biedna Kordusia! — dodał płaczliwym głosem, aż cała brać pyzdrska głośno zarehotała:

— Ha! ha! ha! panu Maciejowi jak się patrzy żal pani Korduli i ciepłego, miękkiego łóżeczka! ha! ha! ha!

— Fe! wstydź się, panie cechmistrzu — ozwał się siwy pan Wojciech Szczygieł, przewódzca — wstyd dla was i dla nas, że mamy takiego niewieściucha!

— Tak jest! tak jest! wstyd dla całej konfederacyi! — ozwały się liczne głosy...

— Teraz nie czas nam myśleć o tem — przemówił znowu pan Wojciech — kilka chwilek w nocy na odpocznienie, chwila na modlitwę, a resztę przepędzim w krwawych tańcach z wrogiem!...

— I jam zostawił żonę — szepnął ciszej stary majster — żonę, która mi osładzała stare moje lata, zostawiłem syna młodego Piotrusia, pociechę mojej starości... Ale cóż — pierwsza ojczyzna, niż rodzina, pożegnałem żonę i syna, zamłodego jeszcze do wojaczki, i ruszyłem z wami tam, gdzie wszyscy prawi synowie wspólnej naszej matki ojczyzny, być powinni...

I rozdusił stary Wojciech łzę, która mu się gwałtem do ócz cisnęła, i aby rozpędzić smutne myśli, naładował fajeczkę i począł krzesać ognia...

Wtem na krańcu gęstego jaru łysnęło, zadymiło się — i huk z stugłośnem echem rozszedł się po borze...

Pan Wojciech zerwał się, twarz zajaśniała mu, radośnie nadstawił ucha... Znów łysnęło, zadymiło się — drugi strzał ozwał się gdzieś z za jaru...

W końcu trzeci strzał huknął za plecyma naszych konfederatów, w pobliskiej gęstwinie. Równocześne z strzałem usłyszano przeciągły, długi jęk i łomot suchych gałęzi.

— Do broni bracia! — krzyknął pan Wojciech — Nieprzyjaciel na wszystkich krańcach jaru... jesteśmy otoczeni... śmierć albo zwycięztwo! Z Bogiem na wroga! — zawtórowała radośnie szlachta — w Nim i w starych naszych karabelach nadzieja!...

W starym, głuchym jarze, gorąca wre walka i konfederaci starłszy się z dwoma sotniami kozaków, rąbią, aż skry po szablach lecą, a piechota, pochowana za obszernemi bukami i w krzakach, praży Moskala ze wszystkich stron.

— Bij! rąb! z kretesem mosanie! — wrzaśnie ten i ów z wąsatej, barczystej braci, zawinie młynka karabelą i kilka łbów kozackich spadnie z tułuba...

— Z Bogiem wiara! — zagrzewa co chwila siwy pan Wojciech, ścieląc trupy wokoło.

I odważnie, gorąco biją się nasi konfederaci, furkocąc jak młynkiem, szablicami pośród kozaków! jednak i nieprzyjaciel długie ma spisy, dzielne stepowce i celne w olstrach pistolety... Coraz to bardziej nacierają kozacy; z za ciemnej gęstwiny znów się wysunął nowy oddział z brodatym, strasznym assawułą na czele — i nowy atak walecznie przypuścili konfederaci, jednak niestety bez skutków. Przemagająca siła nieprzyjaciół otoczywszy ich naraz ze wszech stron, tak silnie uderzyła na nieprzygotowanych konfederatów, że ci zaczęli się mięszać, i w tył cofać...

— Dalej śmierć lub zwycięztwo! — krzyknął z rozpaczą pan Szczygieł, widząc mięszające się swe szyki — naprzód bracia! Kto mi sprzątnie tylko tego brodatego siepacza na przodzie, to już nasza wygrana!...

I poskoczył stary cechmistrz naprzód, zahuczał ostrą jak brzytew szablicą tuż, tuż po nad głową brodatego assauły...

Lecz widać nie pierwszyna to staremu assawule krwawy taniec z Lachem; złowrogo zatoczył okiem wokoło siebie, oczy mu się radośnie zaiskrzyły, dziko coś zaklął... podniósł rękę... i wystrzelił...

Równocześnie jednak z strzałem wstrząsnął się... pochylił... jęknął... krew jak z cebra buchnęła mu z ust — assawuła już nie żył!

Śmiercią przełożonego i nowem silnem natarciem zmięszane kozactwo rozpierzchło się po jarze — większa częśó została na placu bitwy.

Pod ogromnym bukiem, wśród zarośli leżał zabity assawuła, czerwona posoka zwilżyła pod nim ziemię, a koń odtrzaskanemi nogami wydobywał się z pod ciężaru swego pana; opodal trochę, na pagórku, leżał stary, konający pan Wojciech... Krew strumieniem buchała z rany, którą mu assawuła w piersi zadał i na twarzy wybladłej malowało się wzruszenie i święty jakiś spokój...

Przed konającym ojcem klęczał młody Piotruś — i całując kostniejące jego ręce — płakał...

Zaiste trudno, bardzo trudno odmalować żywo i prawdziwie ową okropną i bolesną chwilę, chwilę ostatniego rozłączenia się syna z ojcem — zostawmy ich raczej do zobrazowania sobie czytelnikowi samemu, który łacniej to może uczuje — a my wyjaśniemy tymczasem niespodziewane zjawienie się Piotrusia, i tak nagły zwrot w zwycięztwie naszych konfederatów. (C. d. n.)

---

*) Sławna wtenczas pieśń konfederatów Barskich.

Wiadomości.

Świeżo opuścił prasę list pasterski na post Najprzew. Ks. Arcybiskupa, zawierający naukę o wielkich obowiązkach dla św. Kościoła naszego katolickiego i udzielający w poście dyspensy na czas od Popielca r. b. do Popielca 1901 r.

Pierwsza część listu odczytaną została w niedzielę mięsopustną dnia 18-go b. m; a druga odczytaną będzie w niedzielę zapustną, dnia 25-go b. m. w miejsce kazania po ewangelii we wszystkich kościołach obudwóch archidyecezyi.

Szanownym Czytelnikom Rożdzienia (Szopienic) na Górnym Śląsku zwracamy uwagę na to, że u rodaka naszego i druha, p. Karola Pronobisa, kupca tamże — otworzyliśmy agenturę „Pracy".

Każdy nowoprzybyły abonent Rożdzienia i okolicy niech zatem zamówi sobie „Pracę" w składzie p. Pronobisa.

Szanowni Przemysłowcy! Baczność! Druki nowych statutów cechowych dla wszystkich cechów przyjmuje drukarnia „Pracy" po cenach jak najtańszych tylko jeszcze tydzień. Później cena ta znacznie się podroży. Zwracamy w tej sprawie baczną uwagę Szanownym Panom Cechmistrzom na odnośny inserat.

Kalendarz Brazylijski już wyczerpany, o czem donosimy Czytelnikom.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy", upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Premią, mianowicie „Kalendarz Maryański na rok 1900", otrzymają tylko ci Czytelnicy, którzy nam nadeślą prócz własnego kwitu abonamentowego także na dowód kwit nowego zjednanego abonenta i to kwit z końca bieżącego miesiąca, a nie z datą starszą.

Do skompletowania kwartalników „Pracy" potrzebne nam są numera: 2-gi, 4-ty, 5-ty 6-y i 7-y z roku bieżącego, o których nadesłanie upraszamy niniejszem naszych Czytelników, za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Agenturę „Pracy" na miasto Bruch w Westfalii i okolicę otworzyliśmy w Bruchu u pana Wojciecha Chwiłkowskiego, prezesa Towarzystwa św. Michała — Hillerheide nr. 16 III, na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom Bruchu i okolicy. U p. Chwiłkowskiego można zaabonować „Pracę" od każdego czasu.

Wszelkie oferty nadsyłane nam, a dotyczące inseratów, prosimy przysyłać w zapieczętowanych listach z wyraźnem oznaczeniem liter i znaków podanych w odnośnym inseracie, gdyż tylko w takim razie możemy je dalej wysłać interesentom. Listów bez oznaczenia liter i znaków uwzględniać nie możemy.

Ekspedycya „Pracy."

Wystawa. Kto chce podziwiać piękne prace rąk naszych pań, niech uda się na salę pałacu hr. Działyńskich, gdzie właśnie wystawione są aparaty i paramenta kościelne, jakiemi ofiarność publiczna obdarzyła nowy kościół na Jeżycach. Znajdzie tam rzeczy przedniej, artystycznej wartości i to w wyjątkowo wielkiej obfitości.

Kościół jeżycki posiadać będzie także malarskie dzieło sztuki, mianowicie wielki piękny obraz „Kazania św. Marka", wykonany i ofiarowany kościołowi przez zaszczytnie znanego naszego artystę-malarza, p. prof. Jaroczyńskiego. Znawcy oceniają wartość obrazu na około 1000 marek.

Cel wystawy wzniosły, gdyż wstępne ofiarowane na organy w nowym kościele jeżyckim, który dotąd organ niema. Wstęp 25 fen.

Teatr. W teatrze wznowiono w ostatnim czasie przy licznym udziale publiczności niegrany już od paru lat piękny dramat hr. L. Starzeńskiego „Czaple pióro", który jak zawsze tak i tym razem silne wywierał wrażenie na widzach. Głównych bohaterów dramatu odegrali artyści nasi doskonale, mianowicie zasłużyli na całe uznanie pan Adwentowicz, jako Jan Wyhowski, hetman Ukrainy, pani Święcka jako mściwa i demoniczna córka Bohdana Chmielnickiego i p. Jakubowski, który znakomicie się wcielił w postać chytrego jezuity Vulpiusa. Przedstawienie „Czaplego pióra" należało do udatniejszych w tym sezonie.

W sobotę, dnia 24-go bm. odbędzie się pierwszy benefis w bieżącym sezonie na dochód pierwszego amanta naszej sceny, pana Karola Adwentowicza. Benefisant wybrał sobie prześliczną tragedyę Wincentego Rapackiego p. t. „Histryoni, męczennicy chrześciańscy" z czasów najsroższego prześladowania chrześcian za cesarza Dyoklecyana.

W niedzielę wieczorem po raz drugi: „Histryoni". Tego dnia po południu o godz. 3 operetka w 6-ciu obrazach p. t. „Biedna dziewczyna" po cenach do połowy zniżonych.

Stęszewo. Tutejsze Towarzystwo Młodych Przemysłowców urządza na ogólne życzenie po raz drugi w niedzielę dnia 25 b. m. na sali p. S. Schwerzenza przedstawienie amatorskie na cel dobroczynny. Odegranem będzie: „Bartosz z pod Krakowa" i „Powrót taty". Po przestawieniu zabawa z tańcami.

Gazeta Lwowska donosi, że teatr skarbkowski we Lwowie wystawi w bieżącym sezonie pięcioaktowy dramat „Powrót do kraju", którego autorem jest p. *Dr. Kazimierz Rakowski* (Kazimierz Radwan). Jak się dowiadujemy od autora, jest to dramat współczesny, osnuty na tle stosunków emigracyi polskiej w Niemczech.

Gdzieby się mógł osiedlić z powodzeniem drogerzysta Polak? Czy może kto z Czytelników wskazać małą drogeryą, którąby ów pan mógł nabyć? Informacye prosimy łaskawie nadesłać pod adresem Redakcyi „Pracy."

Trzy marki nadesłane nam z Gryfii przez p. A. A. (przegrane wskutek zakładu, a przeznaczone na cel dobroczynny) doręczyliśmy pewnej godnej, obłożnie chorej osobie, cierpiącej niedostatek. Na życzenie podamy p. A. A. adres dokładny.

Z nadesłanego nam sprawozdania „Banku Przemysłowców" w Poznaniu za rok 1899-ty wynika, iż obrót ogólny wynosił przeszło 40 milionów marek, czyli o 7 milionów więcej, niż w roku zeszłym. Pożyczek udzielono razem w sumie 4 432 618 mk. Członków jest razem 2 763, udziałów 1 346 199 mk., depozytów 3.721 488, weksli 4 432 618. Fundusz rezerwowy wynosił przed walnem zebraniem 150 000. Wszystkie cyfry świadczą o pomyślnym rozwoju poważnej tej instytucyi.

„Dom Przemysłowy" w Poznaniu walne zebranie swoje odbył dnia 23 b. m. na sali hotelu francuzkiego. Nadesłane nam sprawozdanie za rok ubiegły zawiera cyfry następujące: Członków jest razem 458, udziały wynoszą obecnie 45 201 mk., fundusz rezerwowy 5 964 mk., suma gwarancyjna przedstawia cyfrę 172 500 mk.

Sluby. Dnia 20 b. m. pobłogosławiony został w Poznaniu, w kościele Bożego Ciała, związek małżeński pomiędzy panną Maryą Konarską z Poznania, córką p. Mikołaja Ko-

narskiego, sekretarza w naddyrekcyi poczty i Jadwigi z Hoffmanów, a panem Kazimierzem Siemiątkowskim, kupcem z Leszna, synem p. Władysława Siemiątkowskiego, redaktora „Pracy“, i Heleny z Sypniewskich. Aktu ślubnego dopełnił brat młodej pani, ks. proboszcz Edmund Konarski z Nowego Grabia na Kujawach w asystencyi ks. proboszcza Kostenckiego i ks. wikaryusza Kałkowskiego.

Dnia 14 bm. pobłogosławiony został w Żninie związek małżeński pomiędzy panną Maryą Groszkiewiczową, a panem Michałem Fiebachem. — Dnia 6 bm. odbył się w Inowrocławiu ślub pomiędzy mistrzem krawieckim, p. Szczepanem Wilińskim, a panną Maryą Wojczyńską.

W Sremie pobłogosławiony został związek małżeński między p. Maryanem Stanikowskim z Trzemeszna, a p. Wiktoryą Szumnarską ze Sremu. Aktu ślubnego dopełnił ks. prob. Drożdzyński ze Sremu w asystencyi ks. Cichockiego i ks. Miśkiewicza. W serdecznych słowach przemówił również do młodej pary ksiądz proboszcz.

Dnia 13-gu lutego odbył się w kościele parafialnym w Szczepanowie na Kujawach ślub gospodarza p. Ignacego Strzempkowkiego z Tuczna z panną Pelagią Posadzą. Wesele odbyło się u wuja młodej panny, gospodarza Chrośniaka w Szczepankowie. Przy uczcie weselnej zebrano za pośrednictwem gospodarza Lewandowskiego na Czytelnie ludowe 17 marek 37 fenygów.

Dnia 19 b. m. pobłogosławiony został w kościele Przemienienia Pańskiego w Poznaniu związek małżeński pomiędzy panną Anną Łebińską, córką dr. Władysława, naczelnego redaktora „Dzien. Poznańskiego.“ i ś. p. Maryi z Mieczkowskich, a p. dr. Adamem Karwowskim, lekarzem-specyalistą z Poznania, synem p. prof. dr. Stanisława z Głubczyc i małżonki jego, Maryi z Pstrokońskich.

W przeszłą środę pobłogosławił w Gnieżnie ks. radzca Stefański w kościele św. Wawrzyńca związek małżeński pomiędzy p. Zygmuntem Przyłuskim, kupcem z Inowrocławia, a panną Waleryą Godyńskąz Gniezna, córką kupca p. Jana i Józefy z Kowalskich.

„Szczęść Boże“ młodym parom!

Od Redakcyi.

Panu Leonowi G. w D. pod Poznaniem. W atrybucye i t. p. tej instytucyi mieszać się i jej też dawać wskazówek nie możemy, czy ma zakupione posiadłości parcelować czy też nie.

Panu B. G. w Kościerzynie, Pr. Zachod. Redakcya nie jest biurem wywiadowczem i t. p., więc służyć Mu w tej sprawie informacyą nie możemy. Anonsowanie w „Pracy“ jest bardzo korzystne dla każdego przedsiębiorstwa, ogłaszaj Pan zatem w „Pracy“, a skutek będzie pewny.

Pani Helenie Wałężance w Moszczenicy, Galicya. Powieść i numera żądane już wyczerpane.

T. Z. w Darmsztacie. 1) Jan Włódarczyk w Rotthausen, Sevenarstr. 17 pod Essen, 2) Franciszek Musielak, robotnik u p. W. Wieschemana w Marten, Moltkestr. 34, 3) Józef Sieracki w Duisburgu, 4) Pifczyk, górnik w Bottropie, Prosperstr. 13, Westfalia, 5) Michał Paluch w Annen, Krummestrasse nr. 132, Westfalia.

Panu K. w Lesznie. Z inseratami redakcya nie ma nic wspólnego. Dzierżawca anonsów urządza się w tej sprawie tak, jak mu najdogodniej i za inseraty małe każe sobie płacić z góry, gdyż już poniósł bardzo wiele strat.

Panu Wojciechowi K. w Koźminie. Wiersz nam nadesłany jest powszechnie znany, więc nie zamieszczamy.

Panu I. S. w Dyseldorfie. Na razie korzystać nie możemy. Anonsów anonimowych nie zamieszczamy.

Pani M. J. w Ostrowie. Ze względów prasowych drukować nie możemy.

Panu St. S. w Obornikach. Policya skonfiskowała. Roczników i numerów żądanych nie posiadamy.

Wielebnemu ks. W. w Z. Najserdeczniejsze dzięki za życzenia, „aby Najwyższy zacnym naszym usiłowaniom raczył błogosławić obficie“.

Panu Janowi K. J. W tej sprawie poinformuje Pana każdy budowniczy.

Panu J. Wesołowskiemu w Czempinie. Przerwaliśmy na żądanie wielu Czytelników, mianowicie z Galicyi, ponieważ kodeks był dla nich bezwartościowym. Najpóźniej w kwietniu r. b. wydamy cały kodeks w formie książeczki dla tych Czytelników, którzy go od nas zażądają.

Bałamutowi z Błaszek, Królestwo Polskie. Nie nadaje się do druku.

Wielebnemu Ks. Andrzejowi K. w P. (Galicya). Żałujemy bardzo, że nie możemy zamieścić wiersza „Do Polki“ ze względów prasowych. Redaktor nasz odpowiedzialny musiałby odpokutować za to kilka miesięcy w więzieniu. Inny wiersz zamieścimy chętnie. Serdecznie dziękujemy za słowa uznania i zachęty.